

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Listopada 1893. **Nr. 21.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Z CHŁOPA KRÓL.

Na imię mu było Gaweł; a był najmłodszym z braci — wszyscy oni uchodzili za rozumnych, jego głuptaszkiem nazywano; nie dla tego, żeby rozumu nie miał, ale, że serce w nim było tak miękkie, że o sobie nie pamiętając nigdy, nad drugimi się litując, zawsze w końcu pokutować za to musiał.

Bywało, siądą u jednej miski, bracia go zawsze odjedzą, a w końcu jeszcze i łyżkami po głowie wybiją, z czego on się śmieje... Najgorszą koszulinę zawsze miał, podarte łapcie, ale się tem nie gryzł i choć czasem przymarzł, a wygłodził się, ale widział, że drudzy mieli do syta, a dobrze im było — on radował się także. Starsi u niego zawsze co chcieli wydurzyli, a potem wyśmiewali się z niego. Ojciec i matka gryźli się tem, bo przewidywali, że na świecie źle mu będzie i nigdy nie dojdzie do niczego. Zostawiono go czasem w chacie do dozoru — nie obeszło się bez szkody. Przyszedł ubogi a poprosił, Gaweł mu oddał, co gdzie znalazł, bodaj koszulinę z grzbietu, a zwierzęta karmił, od gęby sobie odejmując, a każdemu na słowo wierzył i oszukiwał go, kto chciał.

Ojciec go kilka razy obił za tę głupotę, aby przecie o sobie pamiętał, ale rozumu mu nie nabił, Gawełek, jakim był, pozostał. Miał już taką naturę.

Raz gdy nikogo w chacie nie było, a Gaweł na przyzbie siedział, zjawił się przed wrotami ubogi, ale tak strasznie goły, bosy, odarty, głodny, biedny, zapłakany, osłabły, że chłopcu okrutny go się żal zrobiło. A jak mu jeszcze zaczął opowiadać o nieszczęściu swojem, Gaweł o wszystkiem zapomniał. Wziął go do chaty i co było w niej najlepszego, ojcowską koszulę, sukmanę, chodaki, czapkę, oddał wszystko. Obiad, który stał na przypiecku przygotowany, odgrzał i nim go nakarmił. Na ostatek wiedząc, gdzie jest ojcowski węzełek, groszy co było w domu, oddał ubogiemu wszystkie, krom dwóch trzygroszówek.

Napojony, nakarmiony, odziany ubogi odszedł błogosławiąc chłopca, ale i śmiejąc się z niego po troszę...

Wkrótce potem matka z ojcem nadeszli, a Gaweł im z wielką radością wyspowiadał się z tego, co zrobił. Ojciec wpadł w okrutny gniew, tak że go nawet matka pohamować nie mogła, począł syna kijem okładać okrutnie, a w końcu za drzwi go wyrzucił, grożąc mu, że go zasiecze, jeżeli się kiedy w chacie pokaże.

— Idź trutniu! — wołał — idź, gdzie cię oczy poniosą, giń marnie i niech cię nie znam!

Gdy Gaweł miał już precz iść, matka się nad nim ulitowała i przez okno rzuciła mu dwie pozostałe trzygroszówki.

Wziął je biedak zasmucony, i — co było robić? — ojciec, choć mu do nóg padał, słuchać nic nie chciał, musiał precz iść. Myślał tylko sobie: jak się przegniewa, powrócę — i przebaczy. Ojciec zaś mówił — niech sam nauczy się dbać o siebie, inaczej nas zuboży i nic z niego nie będzie.

Wyszedł tedy Gaweł na gościniec, popatrzał — dokąd tu mu iść, westchnął do Boga i puścił się, gdzie oczy poniosą.

Jeszcze był niedaleko się od wsi odsadził, gdy spotkał jednego ze swych braci.

— A dokąd to?

— W świat idę, ojczysko się pogniewało, nabił mnie i kazał precz iść, a na oczy mu się nie pokazywać.

Starszy brat rozśmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak, boś głupi. Jak rozumu nabierzesz, wówczas powrócisz.

Odwrócił się od niego śmiejąc i poszedł.

Trochę dalej pod gruszą, patrzy, siedzi brat drugi i pyta go:

— Dokądże to?

— A no, w świat, bo mnie ojciec wygnał precz.

Drugi brat śmiać się też począł i powiada:

— Szczęśliwej drogi! głupi Gawełku. Będzie nas mniej, to się lepiej najemy.

Szedł więc Gaweł, szedł, aż trzeci brat pędzi woły z paszy.

— A ty dokąd?

— Z chaty mnie wygnali... bywaj zdrów, wędrować muszę, a na drogę nie mam, ino dwa trzygroszki.

Trzeci brat ruszył ramionami.

— Jabym ci i złamanego szeląga nie dał, odezwał się, takiemu głupcowi jak ty dawać, to w dziurawy worek tkać. Bywaj zdrów.

Pożegnawszy się w ten sposób z rodziną, nie miał już Gaweł co robić we wsi i okolicy i przyspieszywszy kroku, puścił się nieznajomą drogą. Głodno mu było, smutno bardzo po wsiach, ale Panu Bogu ufał. — Kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył — mówił sobie. Kraj do koła stał jakiś pusty bardzo. Szedł tedy, szedł, nikogo nie spotykając długo, aż idzie człek naprzeciw, a na plecach worek niesie, w worku się coś szamocze żywego.

— Boże pomagaj — odezwał się Gaweł — co to niesiecie, poczciwy człecze?

Ten stanął.

— Co ty mnie poczciwym nazywasz, — ofuknął się — poczciwy to znaczy głupi... a ja nim nie jestem. Niosę kota czarnego, aby go utopić. Kot był szkodnik, zamiast myszy łapać, mleko wypijał i do misek zaglądał. Uczepię mu kamień do szyi i niech idzie na dno.

To mówiąc pokazał głowę kota Gawłowi, a było stworzenie takie śliczne, lśniąco czarne, z dużemi oczyma, z pyszczkiem różowym, że się Gawłowi niezmiernie żal go zrobiło.

— Takiemu młodemu ślicznemu kotkowi ginąć!... Daj mi go! — rzekł do chłopa — co masz topić, ja go wezmę.

— Darmo! — zaśmiał się chłop. — O! nie, tego obyczaju u mnie nie ma. Wolę utopić jak dać darmo. Nabrałbym złego nałogu.

— Zapłacić nie mam czem, — odparł Gaweł — całego majątku mam dwa trzygroszniaki, ale jeżeli jednym się zaspokoisz. Co robić! bylem kotkowi życie ocalił!

Chłop podumał, ruszył ramionami, wziął trzygroszniak i kota mu oddał.

Gawełek szedł dalej, wesół, że Bożemu stworzeniu życie ocalił, a kot też zdawał się rozumieć wyświadczone dobrodziejstwo, bo się do nowego pana tulił i pomrukiwał. Miał chłopiec w kieszeni chleba kawałek, więc choć sam jeść chciał, pomyślał, że on sobie łatwiej strawy dostanie. Przełamał na pół chleb, pokruszył go i nakarmił kota, który zjadłszy z apetytem, na ręku u niego usnął.

Odszedł może stai kilkoro, patrzy, znowu człek idzie i worek niesie, a w worku się coś szamocze...

— Pomagaj Boże człecze, — rzekł stając Gaweł — a co to za towar niesiecie?

— Towar? — odparł człowiek — nie towar to żaden, nie prosie tłuste, ani gęś, ale złe i niepoczciwe psisko. Drobiu mi już zdusił kilkoro, a szczeka, a po nocach wyje... przywiążę mu do szyi kamień, niech idzie na dno.

To mówiąc, pysk psi pokazał Gawłowi, który mu się wydał bardzo śliczny. Psiuk miał taką minę, jakby się prosił, aby mu życie darowano. Litość wzięła Gawła.

— Dajcie mi go — rzekł.

— Darmo? toć skóra przecie coś warta? Kuśnierz ją zafarbuje i sprzeda za lisią. Co dasz?

— Jedyne tylko, ostatnie mam trzy grosze — odezwał się Gawełek, dobywając groszniak z węzełka.

— Co robić, dawaj choć tyle — rzekł śmiejąc się człowiek — a nie, to psa zabiję lub utopię.

Targ w targ, musiał Gaweł zapłacić za psa ostatnie trzy grosze, a człek mu psiuka oddał i poszedł rychocząc ze śmiechu, głupim go zowiąc, o co się Gaweł nie gniewał.

Pies około niego skakał, szczekał i przypadał mu do nóg.

Trzeba go było nakarmić. Dobył chłopak ostatni kawałek chleba, pokruszył go i psu oddał... Tak tedy z kotem na ręku, ze psem u nogi, dalej puścił się w drogę.

Głód mu mocno dokuczał, a i nogi zmęczone nie dopisywały.

Siadł więc pod gruszą, na kamieniu, myśląc, co dalej robić?

Pies się położył z jednej strony, kot z drugiej. Gaweł tymczasem Pana Boga chwalił, że mu się dwoje stworzeń uratować udało.

Tylko głód czuł wielki i w żołądku mu świdrowało. Słońce się miało ku zachodowi, w polu jak zajrzeć, ani gospody, ani miski. Co tu robić? Bieda! Ani sobie, ani zwierzętom poradzić. Do koła pustynia, ani jeść nie ma co, ani się gdzie przespać, a tu noc zachodzi.

— Albo to Pana Boga nie ma? — rzekł pocieszając się Gaweł.

Spojrzał na swoich towarzyszów. Kot siedział, oczy żółte to przymrużając, to otwierając szeroko... Pies spoglądał na niego i ogonem kiwał.

— A co! bieda? — odezwał się wesoło do pieska...

Pies, jakby go zrozumiał, zerwał się, nosem pociągnął, zaczął chodzić w koło, ziemię wąchać, na ostatek nuż grzebać.

Grzebie, grzebie tuż przy nogach chłopca, aż się zasapał, coraz głębiej, coraz żywiej, ziemię łapami odrzuca, a oczy mu się świecą, poszczekuje wesoło, coraz to spojrzy na Gawła i grzebie dalej a dalej.

— Co to on sobie myśli? — rzekł w duchu Gaweł — jużciż on darmo dla zabawki tego nie robi i musi coś znać i wiedzieć.

W tem pies nozdrza zapuścił w wykopany dół, powąchał mocno, podniósł się i szczeknął, jakby w głąb wykopanej jamy pokazywał chłopcu.

Gaweł wstał, pochylił się i zajrzał... Patrzy: na samem dnie leży coś błyszczącego, rękę zapuścił głęboko i dobył pierścień, świecący, duży, piękny, ale piaskiem i ziemią oblepioną na nim okryty. Nigdy Gaweł tak wspaniałego klejnotu nie widział i oglądał go z ciekawością wielką. Złoty był, jakby ze sznura grubego upleciony, a w środku jego siedziało oko dziwne, patrząc jak ludzkie i mieniące się coraz inną barwą. Gaweł począł go ocierać, ażeby oczyścić, ale razem i myślał sobie:

— Pierścień jak pierścień, piękna rzecz, ale co mi z tego, kiedy gospody nie ma, ani wieczerzy...

Ledwie że mu to przez głowę przeszło — patrzy — aż osłupiał... Stoi we drzwiach wspaniałej gospody, pies i kot jak byli przy nim. Jeden się łasi, drugi poszczekuje i prowadzą go przez wspaniałą sień do ślicznej izby. Żywej duszy w niej nie było, ale stół nakryty bielizną białą, a na nim wieczerza taka, że dwóchby się nią królewiczów najadło, taka dostatnia i smaczna. Misa klusek z serem, aż się kurzy, chleb, masło, kura pieczona, woda we dzbanku, piwo i miód... Niewiele myśląc, zasiadł uradowany Gaweł sam jeść i dwór swój nakarmić, bo o niem zapomnieć nie mógł; a jadł wygłodzony, aż mu za uszami trzeszczało, i Panu Bogu dziękował, na pierścień cudowny spoglądając, bo tego się dorozumiał, że wszystko to jemu był winien.

Usługi około stołu nie było żadnej, ale taki osobliwy porządek, że miski i talerze, skoro się wyprożniały, znikały w oczach...

Gdy się najadł i napił dobrze Gaweł, zachciało mu się spać i byłby się choć na ziemi położył, bo do tego był nawykły, ale w drugiej izbie widać było posłane łóżko, pościel śliczną, białą, a w dodatku i odzież piękną, nową, w którą nazajutrz mógł się ubrać. Więc Panu Bogu podziękowawszy, szedł do łóżka i jak legł, tak natychmiast zasnął. Kot i pies pokładli się też przy nim.



GALILEI. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336.)

Jak długo spał, sam nie wiedział, bo sen miał tak mocny, że się nawet na drugi bok nie przewrócił. Otworzywszy oczy, zobaczył już wielki dzień, biały, słońce przyświecające wesoło, kot się już umywał, a pies siedział z uszami do góry i powitał przebudzenie pana wesołem szczekaniem.

Skoczył Gawełek co żywo umywać się, odziewać, a bieliznę i suknię wdziawszy, sam siebie nie mógł poznać. Na ścianie wisiało ogromne zwierciadło, w którem przejrzawszy się przekonał, że wypiękniał przez tę noc i do królewicza był podobny...

Zaledwie się tak przystroił i trochę mu się ckliwo zaczynało robić, a byłby co przekąsił chętnie, gdy w pierwszej izbie zobaczył stół nakryty, i już go zachodził zapach krupniku, tak pokuśliwy, że musiał do misy biedz, aby nie ostygł.

O kocie i psie nie zapominając, dobrze się posilił Gaweł. Cóż tu dalej robić! Siedzieć tak w niemej tej gospodzie samemu jednemu, jeść, pić i spać tylko — nudno. Pomyślał tedy sobie — trzeba w drogę dalej.

To mówiąc potarł swój pierścień i — w mgnieniu oka, znalazł się znów na drodze, sam jeden ze psem tylko i kotem. Gościniec tylko był inny, nie ten, którym szedł wczoraj. Szeroko wybity, wysadzany wielkiemi staremi drzewami, ciągnął się jak okiem zajrzeć, krajem wesołym i żyznym, na który miło było popatrzeć.

Ludzi na polach uwijało się około roboty mnóstwo, pojazdy szły złociste drogą, na prawo i na lewo dwory, pałace i wioski widać było wesołe. Szedł więc Gaweł dalej w cieniu drzew powoli, wszystkiemu się przypatrując, a nie spiesząc. Przed nim biegł pies, za nim sunął się kotek...

Ponieważ Gaweł w kieszenie nabrał chleba podostatkiem, nie potrzebował już we dnie gospody, siadł pod drzewami, sam się najadł i swoich towarzyszów nakarmił. Dopiero nad wieczór trzeba było o noclegu pomyśleć.

Znalazła się też jak raz wieś bardzo wielka i porządna, do miasteczka podobna, bo w środku jej było targowisko do koła domami ostawione. Właśnie w chwili, gdy wchodził tu Gaweł, ogromne zbiorowisko ludu napełniało plac, a w środku na koniach stali ludzie i głośno coś z papieru czytali.

Widać było po konnych, iż z urzędu zostali posłani, bo mieli na sobie suknie wyszywane z herbami i kapelusze z piórami na głowach, a jeden wprzódy trąbił, nim drugi miał czytać, aby ludzie słuchali...

Cały tłum stojący do koła zafrasowane bardzo miał twarze; niektórzy ręce łamali i rozpaczać się zdawali. Ten co na koniu siedział, czytał co następuje z papieru:

— Z rozkazu króla jegomości Gwoździka ogłasza się wszystkim wiernym jego poddanym, że oto wielkie nieszczęście grozi państwu, albowiem potężny ale niegodziwy sąsiad, król Strasznej Góry, Bimbas, z wojskiem nieprzeliczonem ciągnie przeciw Gwoździkowi i chce kraj zniszczyć, a zwojować. Ktoby przeciwko niemu wystąpił, a Gwoździka i jego państwo od zagłady uratował, temu król rękę swej córki jedynaczki, najpiękniejszej z królewien Marmuszki przeznacza i po sobie mu królestwo przekaże!

Słuchał tego czytania Gaweł — i natychmiast spytał stojącego przy sobie wieśniaka, którędy droga do zagrożonej stolicy i gdzie się nieprzyjaciel znajdował.

Na to jeden z heroldów odpowiedział, że Bimbas z wojskiem stał już o pół dnia od miasta, a do niego ztąd nie było dalej, jak dzień drogi.

Gaweł począł zaraz pierścień swój trzeć i żądać, aby mu się wojsko stutysięczne zebrało dla pobicia nieprzyjaciela króla Gwoździka; miał bowiem na myśli ożenić się potem z królewną Marmuszką — no — i spokojnie sobie panować temu królestwu. Jeszcze pierścień tarł, gdy sam ujrzał się na koniu, a po za wsią zaczęło się ukazywać wojsko

wielkie i trzech wojewodów przybiegło do niego po rozkazy.

Gaweł wyjechał, przez zdumiony lud się przerzynając, wśród okrzyków radosnych do swojego wojska, rozkazując mu biedz przeciwko Bimbasowi na obronę stolicy... Sam też z wojewodami puścił się w czwał, zapomniawszy nawet o swoim kocie i psie; ale oni oba tuż za koniem biegli nieodstępnie.

(Dok. nastąpi.)



WYROKI.

Czy to tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptastwo śpiewa ukryte w cieniu?
Ani to chłodne strumienie grają,
Ani w gaiku ptacy śpiewają, —
Lecz święci pańscy w rajskiej ustroni
Gwarzą ze sobą w cieniu jabłoni.
Święty Mikołaj, staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy,
Co ma w opiece nasze bydlęta,
O każdej wiejskiej krowie pamięta,
Wraca do trzody zbłąkaną w boru,
Chroni od wilka i od pomoru,
Wsparty na krzywym kiju pastucha
Pod gałęziami siedzi i słucha;
Łagodny wietrzyk rajskiej dąbrowy
Rozwiał mu brodę na dwie połowy,
A wonne zioła perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.
Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W które gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole
I złoży w niebie na srebrnym stole!
Obadwaj siwi — gołąbki prawe,
Obudwu serca wielce łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi;
Lecz się i święty na świecie strudzi:
Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie, to spuszcza znowu,
Posnęły rybki w tym świata stawie;
Więc się okropnie staruszek smuci:
Co powie panu, jak próżno wróci?
Może mu Jezus sieci odbierze,
I sam założy srebrne więcierze,
A jak nie znajdzie nic w mętnej fali,
To spuści ogień i wody spali.
I drugi święty ma swoje troski,
Do nieba skargi przychodzą z wioski,
Że wilcy krówki z przed chaty biorą,
Że wczora zdechło jagniąt kilkoro,
Że spiekłej ziemi deszczyk nie rosi,
Że święty pasterz Boga nie prosi:
Niby to prawda... lecz na tej ziemi
Trudnoć się spierać z ludźmi grzesznymi.
Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
Słyszą z daleka skrzypki anioła.
Oj, to nie była anielska skrzypka,
Jeno wieść dobra, co leci szybka,
Że tam na ziemi, na chmurnym świecie,
Powiła matka ubogie dziecię.
»A dziękiż Tobie, łaskawy Boże!
Toż mi zakładać niewód pomoże.«
A drugi rzecze: »Chwała na niebie,
Ja go do trzody wezmę dla siebie.«
Na święte głosy matka królowa,
Gdy usłyszała dalekie słowa,
Z brylantowego zamku wychodzi
I miłościwem spojrzeniem godzi
I rzecze do nich: »Dla tej sieroty
Nie miecz skrwawiony, ani laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka;
W odwiecznej księdze ona wyryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała,
Wiernego ludu cicha pochwała,
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami słyną.«
»Niechże więc idzie« — rzekli miłośnie —
»Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
Niech mu na oczy w cichem uśpieniu
Przychodzą męże w stalnem odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnej bieliźnie,
Wszystko, co wielkie w jego ojczyźnie,
I niech mu czasem w noc lazurową,
Twoje oblicze błyśnie, królowo!«
I wyciągnęli swe dłonie drżące,
Trzy święte duchy, potrójne słońce...
A w biednej chatce wtedy schylona
Pieściła matka dziecię u łona,
Pełna miłości, sercem bogata,
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

Teofil Lenartowicz.



Z POBOJOWISK.

Na zdarzeniach XV wieku osnuł S. J.

(Ciąg dalszy.)

Sędziwy marszałek pani Tarnowskiej usiłował przy stole rozpędzić chmury z oblicza zacnych gości, ale mu się to nie udawało, mimo woli nawijały się pytania o królu i panach Tarnowskich.

Goście się rozgadali o nieszczęśliwej ostatniej wojnie z Turkami, pan marszałek zaś opowiadał o tem, co się działo w kraju podczas opłakanego pobytu króla Władysława w Węgrzech.

— I nas tu bieda bodła i bodzie nielada, — mówił z goryczą. — Z jednej strony przez cesarza niemieckiego[1]) nasłani szląscy książęta najeżdżali granice państwa, z drugiej dokazywali Tatarzy na Podolu straszliwie.[2]) W Wilnie zaś brat królewski, Kazimirz, niechętnem patrzy na Polskę okiem i chciałby co z niej urwać i Litwę zupełnie niezawisłą od Korony uczynić.[3]) W utrapieniu zaś takiem panowie polscy wyrywają się za królem do Węgier, a sadzą się jeden nad drugiego na przepych i okazałość, by się przed madziarską popisać szlachtą i zakasować butę węgierską butnością polską.

— Słuszny wasz gniew, mości panie Szymonie — wtrąci Grzegorz z Sanoka; — ależ wnet koniec będzie tym wszystkim utrapieniom, bo niebawem zasiądzie książę Kazimierz po bracie na tronie naszym, to i Litwa przyjaźniejszem będzie musiała na nas patrzeć okiem, Szlązaki ukarzem i wyprzem za Odrę, a i Tatar zmuszony, przycichnie i wróci do koczowisk swoich.

— A że szlachta nasza — dodał pan Paweł — pokazała światu w Węgrzech dostatek, okazałość, dzielność i potęgę swoję, to Polsce na dobre wypaść powinno, bo kto podziwia synów i kto ich nauczy się szanować, będzie mimowoli podziwiał matkę i też ją uszanuje.

— Mnie się widzi — na to sędziwy marszałek — że się rychlej zyszcze szacunek i podziw przez ład w kraju, skorość do odparcia najbliższego najezdnika, przez zgodę i szacowanie praw ojczystych, jak przez blichtr czczy i popisywanie się u granic obcego kraju.

— Słuszną byłaby wasza mowa, panie Szymonie, gdyby nie ta okoliczność, że Polacy za swoim podążyli królem; nie dla parady, ale w potrzebie — zauważył Jan Rzeszowski.

— Król poszedł za obcym, bo węgierskim interesem, mniej go do korony św. Stefana namawiać należało. — To mówiąc, marszałek rzucił z ukosa okiem na Grzegorza z Sanoka, który rzeczywiście na króla Władysława w tym względzie swego czasu był wpływał.

— Ależ interes Węgier był natenczas interesem Polski, bo chodziło o pokonanie wspólnego wroga Turczyna, — wtrącił Wielebny Grzegorz, wnet zmiarkowawszy, do kogo pan Szymon pije.

— Moi panowie, ja o tem snać osobne mam zdanie, — odparł marszałek, — to tylko jeszcze dodam, że jeżeli król w Węgrzech także za polskiem chodził dobrem, to czemuż się nasza szlachta, pozostała w czasie wyprawy tej w kraju, na tem poznać nie mogła, ale przeciwnie, skoro się tylko dowiedziano, że złamać chcieli Węgry dane słowo królewskie i przysięgi pohańcowi niedotrzymać, zjechano się w Sieradzu[4]), by wysłać posły do króla jegomości z prośbą, aby sobie wiarołomnie nie poczynał.

* * *

Tak i podobnie rozprawiano przy stole, a pan Szymon Podolski zacięcie bronił swego zapatrywania, iż rady sobie rycerze dać nie mogli ze starym gderą. Po ostatnich jego słowach tak zauważył Grzegorz z Sanoka:

---

[1]) Fryderyka III.

[2]) i [3]) Historyczne. Zob. Dzieje pol. J. Szujskiego str. 77, tom. II.

[4]) Historyczne.



ŚWIĘTY MARCIN. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336.)

— Pan marszałek widać należy do tych w kraju ludzi, którzy wszystko, co się u nas stało od 1440 roku, ryczałtem ostro ganią; przekonanym być nie chce, więc się przekonać nie da. To też zażegnajmy lepiej ten spór życzeniem, by nam się wszystkim odtąd według myśli wiodło, a ojczyzna nasza kochana pokoju i szczęścia zażywać mogła na wieki.

— Amen! — dodał pan Szymon Podolski i dał znak piwniczemu, by przyniósł ku uczczeniu zacnych gości i wyrażonego życzenia, co piwnica pani wojewodziny Tarnowskiej miała najlepszego.

Starosta zaś ani słówka przy stole nie wyrzekł, jeno targał zasępiony wąsiska, co było znakiem, że się w nim burzyło srodze.

Gdy się to dzieje w sali, ugaszczają panów Jana i Michała w obszernej świetlicy jednej z narożnych baszt zamku podstarsi załogi i dworzanie miejscowi.

Między wszystkimi rej tu wodzi stary szlachcic, zwany powszechnie Stasznym z Woli. Dla tego, że pochodził ze Staszowej Woli pod Żarnowem, tak go przezwano. Na imię mu było Jerzy; ośmdziesiąt lat podobno liczył, doświadczony wojak i wierny sługa Tarnowskich domu. Na wszystkich wyprawach z panami swymi bywał, z nimi złe i dobre dzielił losy, niczego się w życiu nie uląkł. Wspaniałej to postaci był starzec, a silny jeszcze, wyprostowany, jak młodzik jaki, mówił głosem donośnym i rad przy każdej sposobności dowody siły i zręczności swojej dawał.

— Że król zginął, nie wierzę, to jeno gadanie — ciągnął sędziwy Jerzy dalej wszczętą rozmowę. — Czy go tam pan Jan Rzeszowski szukał, czy nie, to mnie zarówno. Ja mówię, że tym wieściom o królu nie wierzę; ale wieczna szkoda naszych panów Janów i synów pana Zawiszy Czarnego! Oj, szli oni zawsze dzielnie, gdzie im iść należało, szli jako idzie woda w skalistym ruczaju, zawsze z impetem naprzód a naprzód, dalej a dalej. To dzielnych ojców synowie! Mój Boże, mój Boże, kto by się był spodział! A prosiłem naszych panów, by mnie przecież nie zostawili pod dachem i wstydu staremu nie zadawali, nic nie pomogło.

— Nie godzi się siwej głowie — rzekł mi — poniewierać po obozowych polach, kiedy jest w domu czego strzedz i bronić — i nie wzięli ze sobą.

— Ale bobyście, panie Jerzy, bodaj dali radę służbie na tej tureckiej latance, — wtrąci pan Michał nieśmiało.

— Co, kto, ja? — zawołał do żywego dotknięty starzec. — To mnie nie znasz. A widzisz tam tę skórę na tapczanie, a widzisz tam drugą, tam trzecią, tam czwartą — dwadzieścia i więcej takich ci pokażę, a wszystkie w ostatnich latach własną zdarłem ręką niedźwiedziom w naszych lasach z karków, a z każdym trzeba było naprzód dobrze potańcować sobie i połechtać go oszczepem; a ty mi tu będziesz gadał, żebym z Turczynem sobie rady nie dał — i zaczął stary strasznie sapać i z podełba patrzeć.

— Ale tu nie o Turczyna, jeno o ciężkie w obozie życie chodziło; tak ja rzecz rozumiałem — łagodził rozsierdzonego nasz Litwin.

— Obozowe życie, widzisz go! A byłeś w grunwaldzkiej potrzebie? słyszałeś tam grzmot ognistej broni? uganiałeś się za Krzyżakami, a każdy Krzyżak — koń i człek razem — to jakoby zamek o czterech nogach. Ale bo może myślisz, żeśmy tam pierze pruskim babom darli i babskich bajek przy piecu słuchali! — Tak odparł stary wojak.

— Pokażcie mu jeno, panie Jerzy, waszą rzecz z oszczepem, albo z pawęzą, a zje djabła — wtrącił Piotr, który, znając starego, wiedział, czem go uspokoić, gdy go się nierozważnie zadrasło.

— Co mnie tam oszczepu i pawęzy szukać, ja mu oto tak pokażę, co to stary żołnierz, — zawołał Jerzy i pochwycił dwóch najbliższych dworzan, każdego za ramię ująwszy, i uniósł ich aż pod sklepienie świetlicy i zatkał nimi dwie górne framugi w murze, któremi światło do wnętrza baszty dochodziło.

Wszyscy głośno pochwalili dziarskość i siłę starego zucha; pan Michał zaręczał, że aż »strach« na takie rzeczy patrzeć. To się też udobruchał niebawem starzec i odtąd już spokojniej rozprawiano, wróciwszy do przedmiotu pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Promienie słoneczne i praca, której dokonywają.

(Ciąg dalszy.)

I tak, po za drutem, możecie pochwycić fale na kawałku papieru, wtedy spostrzeżecie, że tworzą ciemne i jasne linie jedna przy drugiej, a z tych przedziałów jakie się między liniami tworzą, wyrachować można długość fali. Za trudna to jeszcze dla nas sprawa na teraz, lecz to już dostrzedz możecie, że większe fale szersze utworzą linie światłych i ciemnych pasów, a mniejsze przeciwnie; tym sposobem wymierza się długość fal.

Jak wam się też zdaje, do jakiej one dochodzą długości? Tak są nieskończenie małe, że ich się mieści 50 tysięcy w jednym calu kwadratowym przestrzeni! Narysowałem na tablicy długość cala, a teraz zmierzę tę wielkość w powietrzu, pomiędzy moim dużym i wskazującym palcem. Na tej małej przestrzeni w tej chwili podnosi się i opada 50 tysięcy fal! Przyrzekałam wam, że w nauce znajdziemy cudowniejsze rzeczy, niż w czarodziejskich bajkach. Czyż ci delikatni, niewidzialni posłańcy, przylatujący nieustannie ze słońca, są mniej zdumiewającymi od wielkich czarów, tem bardziej, skoro się wnet dowiemy, że to one wykonywają prawie całą robotę na naszym świecie.

Sprobujmy naprzód sprawdzić jak one szybko podróżują. Przypominacie sobie, że pospieszny pociąg potrzebowałby iść 171 lat, nimbyśmy na nim dojechali do słońca; nawet kula armatnia, lecąca tak szybko, potrzebowałaby na odbycie tej drogi od dziesięciu do trzydziestu lat. A te drobniutkie drgania w przeciągu tylko siedmiu i pół minut przelatują całe 20 milionów mil. Fale, dotykające waszych oczu w tej chwili, powstały z ruchu, który się rozpoczął na słońcu dopiero przed siedmiu i pół minutami. Pamiętajcie, że ten ruch trwa nieustannie, a fale ciągle, bez przerwy następują jedne po drugich i wciąż uderzają na źrenicę naszego oka. Tak spiesznie nadpływają, że ich przeszło 608 bilionów dosięga waszego oka w ciągu jednej tylko sekundy. Nie żądam od was, abyście pamiętali te cyfry; chciałbym tylko, żebyście sobie wyobrazili nieskończoną ilość niewidzialnych i wiecznie czynnych posłów słońca i żeby się w was zbudziło przekonanie, że światło jest cudowną rzeczą.

Lecz dotąd jeszcze nie wiemy wszystkiego o promieniach słonecznych. Patrzcie, mam tu kawałek trójgraniastego szkła, które się pryzmatem nazywa. Jeśli je położę na słonecznem świetle wpadającem przez okno, cóż się stanie? Spojrzyjcie! tu na stole utworzył się pas piękny, różnokolorowy. Stosownie do tego, jak obrócę pryzmat, mogę go zrobić długim lub krótkim, lecz barwy zawsze w jednakowym porządku będą ułożone. Tu po lewej ręce widzicie czerwoną, obok niej pomarańczową, dalej żółtą, zieloną, niebieską, błękitną i fioletową, łączące się i obok siebie ciągnące przez całą linię. Widzieliśmy wszyscy te kolory, poruszające się na ścianie, skoro słońce jasno zaświeciło i odbiło się w kryształowych ozdobach pająków i świeczników, a jeszcze wyraźniej ujrzeć je możecie, jeśli wpuścicie smugę światła do ciemnego pokoju i przeprowadzicie ją przez pryzmat.

Cóż to za kolory? Czy one pocho-

dzą ze szkła? Nie; ponieważ widzieliście je w tęczy i w bańkach mydlanych, a nawet w kropelkach rosy na listkach i na powierzchni stawu. Te piękne różnobarwne linie są tylko znowu promieniami słońca, które, przechodząc przez szkło, rozdzieliły się; toż samo dzieje się z tęczą, gdy się ukazuje w kroplach deszczu, toż samo zjawisko na bańkach mydlanych, na pianie wodnej.

Mówiliśmy dotąd o promieniach słonecznych, jak gdyby się składały z jednego ciągu fal, lecz w rzeczywistości jest ich wiele odmian rozmaitej objętości, a wszystkie przybiegają ku nam ze słońca. Wymierzono je i teraz wiemy, że te, których światło jest czerwone, są szersze i powolniejsze od tych, które jaśnieją fioletową barwą, tak iż w jednym calu kwadratowym jest tylko trzydzieści dziewięć tysięcy fal czerwonych, a na tej samej przestrzeni znajduje się fioletowych pięćdziesiąt siedm tysięcy.

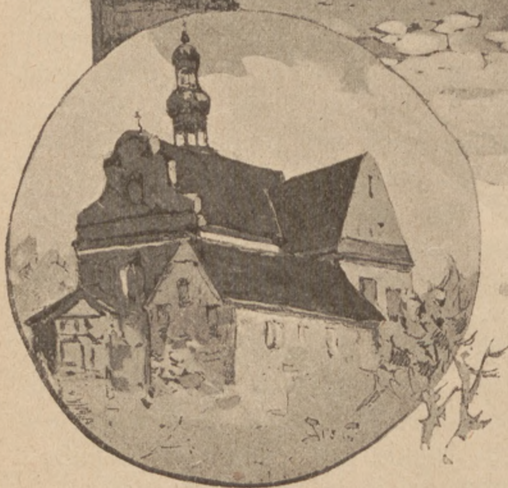
Jakże się to dzieje, że te wszystkie odmiennych barw fale, uderzając o nasze oczy, nie sprawiają jednak na wzrok nasz takiego wpływu, aby się nam wszystko różnokolorowem wydawało? Ponieważ, jeśli nie napotykają na przeszkody, wszystkie płyną obok siebie, a słyszeliście już o tem może, że skoro wszystkie kolory zmięszać w właściwym stósunku, to utworzą one tylko biały. Mam tu okrągły kawałek tektury, pomalowany siedmiu kolorami tęczy w porządku właściwym, kilkakrotnie raz po raz. Jeśli trzymam tekturę spokojnie, możecie odróżnić wyraźnie każdą barwę z osobna, lecz jeśli krąg tekturowy szybko obracam w koło — patrzcie! — tektura zdaje się prawie białą, ponieważ wszystkie te kolory tak szybko migają nam przed oczyma, że się mięszają zupełnie i zlewają. Z tego też powodu i światło wydaje się wam białem, ponieważ te różnobarwne fale odrazu uderzają was w oczy. Możecie sami zrobić sobie takie krążki malowane, tylko że kolor biały zawsze się brudnym wydawać będzie, ponieważ nie dostaniecie farb zupełnie czystych.

Teraz mielibyście zupełne prawo zapytać, czemu krótkie fale sprawiają, że widzimy jednę barwę, a długie — że inną? Jest to bardzo trudne pytanie, ponieważ nie wiemy jeszcze wielu rzeczy o wpływie światła na nasze oczy. Mo-

GNIEZNO.



KOŚCIÓŁ FARNY.



KOŚCIÓŁ ŚW. MICHAŁA.

żecie sobie jednak wyobrazić że barwa jest dla naszych oczu tem, czem tony dla uszu. Wiecie, że możemy rozróżniać oddzielną nutę w miarę tego, jak fale powietrzne uderzają wolno, czy też prędko o bębenek uszny, podobnym też sposobem delikatne fale eteru uderzają o błonkę w głębiach i za pomocą nerwów różne wrażenia do mózgu przenoszą: kolory, jakie widzimy, zależą od liczby drgań, które uderzają o błonkę oczną w ciągu sekundy.

Jakże wam się zdaje, czy mamy teraz dokładną odpowiedź na pytanie: — Co to są promienie słoneczne? Widzieliśmy, że w rzeczywistości jest to szybki bieg drobniutkich fal czyli drgnień, spływających od słońca ku nam po niewidzialnej materyi, którą zowiemy »eterem«, i uderzających nieustannie o każdy przedmiot, który spotykają po drodze. Widzieliśmy również, że te fale, chociaż tak drobne, bywają jednak odmiennej wielkości, tak iż jeden promień słońca składa się z milionów fal rozmaitej długości, które płyną wszystkie jednocześnie i ukazują nam białe światło; chyba że jakaś przyczyna rozdziela je, tak iż widzimy oddzielnie czerwony, zielony, niebieski lub żółty kolor. Nie możemy się zatrzymywać teraz nad badaniem, w jaki sposób się rozpraszają, i zgłębiać innych tajemnic, odnoszących się do fal słonecznych, musimy przystąpić do innej sprawy.

Jaką korzyść przynoszą nam promienie słoneczne?

Przedewszystkiem — darzą nas światłem i ciepłem. Dzięki im jedynie widzimy wszystko, co nas otacza. Gdy było ciemno nie mogliście dojrzeć stołu, krzeseł, nawet ścian w pokoju. Dla czego? Ponieważ one nie posiadały fal światła, aby je przesłać do waszych oczu. Lecz gdy słońce zaczęło świecić w okna, fale rozlały się na przedmioty w pokoju, a gdy ich dosięgły, odbiły się wnet od nich i uderzyły o wasze oczy, jak fala morska bije o skałę, odbija się od niej i uderza o statek, przepływający w pobliżu. A potem, gdy dosięgły waszego oka, weszły weń i podbudziły błonę oczną i nerwy, a tak wyobrażenie krzesła, stołu i ścian przeniesionem zostało do waszego mózgu. Obejrzyjcie się do koła na wszystkie rzeczy, znajdujące się w pokoju. Czyż to nie zdumiewające, gdy pomyślimy, że każdy z tych przedmiotów, w chwili, gdy nań patrzycie, przesyła wam wprost do oka tych niewidzialnych posłańców; a że mnie widzicie i odróżniacie od stołu, wszystko to się dzieje przy pomocy fal, które i ja i stół wam przesyłamy?

Niektóre materye prawie wcale nie odbijają fal światła, lecz je wszystkie przepuszczają przez siebie, tak iż z tego powodu z trudnością dostrzedz je możemy. Tafla czystego szkła, naprzykład, prawie wszystkie fale światła przepuszcza, tak że często nie widzimy wcale szkła, ponieważ odeń żaden posłaniec światła nie powraca do nas. Zdarza się też niekiedy, że ktoś nie widząc tafli szklanej we drzwiach, chcąc wejść, uderza o nią i rozbija. Są to materye przezroczyste, które dla pewnych, nieznanych nam przyczyn, pozwalają falom eteru przenikać przez się, a tymczasem cząsteczki, z których są złożone, żadnej nie ulegają zmianie. Na przykład, przez czyste szkło przechodzą fale świetlne, nie uszkadzając szkła; gdy tymczasem od muru pobielonego większa część tych fal odbija się i uderza o nasze oczy, a te, które wchodzą w mur, przez wstrząśnienie, jakiego doznają ich cząsteczki, tracą swą siłę drgania.

Przez polerowany, błyszczący metal fale nie przechodzą wcale, lecz się rozlewają po jego powierzchni; to też scyzoryk stalowy lub łyżka srebrna świecą mocno i wyraźnie widzieć się dają. Zwierciadła ze strony zewnętrznej polewają żywem srebrem, ponieważ ono odbija wielką ilość fal światła. (Dokończenie nast.)



Historya sztuki pisania.

(Ciąg dalszy.)

Najprawdopodobniej wzięło początek z pisma obrazowego, jak pismo egipskie i chińskie. Nazwa pisma klinowego pochodzi z podobieństwa jego do klina. Na polu badań nad tem pismem pracowało wielu uczonych, a między innymi zasłużeni badacze Eug. Burnouf i Chrystyan Lassen.

Powróćmy do alfabetu semityckiego i rozważmy jego związek z greckim i łacińskim. System piśmienny, posunąwszy się na południe, położył fundament do alfabetów indyjskiego, arabskiego i koptyjskiego; z drugiej strony, przy pomocy żeglarzy fenickich, według podania, przez Kadmusa i jego kolegów przeniesiony został na zachód. Z początku Grecy używali pierwotnych liter fenickich powoli jednak z wymową zmieniali ich kształt. Zmiana ta wyszła szczególniej od Jończyków, którzy przez pewien czas graniczyli z koloniami fenickiemi: nazwa jednak »znaki fenickie« pozostało słusznie, gdyż litery te były najprzód wprowadzone przez fenicyan, według świadectwa Herodota, który powiada, że sam widział to pismo w świątyni Apolina Ismeńskiego w Tebach. Sprowadzone przez Kadmusa do Grecyi znaki fenickie otrzymały nowe nazwy i zastósowane zostały do języka greckiego, przyczem dawne nazwy uległy bardzo nieznacznym zmianom. Tak z aleph utworzono alpha, z beth beta, z gimel gamma, z daleth delta i t. d. Ponieważ tak przekształcone głoski używane były najprzód przez Pelazgów, pierwotnych mieszkańców Grecyi, otrzymały przeto nazwę głosek pelazgijskich. Później niejaki Simonides udoskonalił alfabet, który z początku według jednego źródła 16, według drugiego 18 liter obejmował, a następnie 24, do których później dodano jeszcze kilka podwójnych spółgłosek. W ogóle alfabet grecki zachował następstwo liter semityckich.

Jak ludy semityckie, tak podobnież i Grecy pisali początkowo od ręki prawej ku lewej. Zabytki tego sposobu pisania nie doszły do naszych czasów, przeciwnie napisy i najstarsze pieniądze wykazują nam istnienie u Greków szczególnego sposobu pisania zwanego bustrofedon. Dziwna ta nazwa pochodzi ztąd, że pierwszy wiersz idzie od prawej ręki ku lewej, drugi od lewej ku prawej i t. d. zupełnie tak samo, jak postępuje wół przy oraniu. Kiedy już za czasów Herodota pisano od ręki lewej ku prawej, zmieniono, dla większej dogodności w pisaniu, kształt pojedyńczych liter. Podczas gdy litery semityckie otwarte są od strony lewej, alfabet grecki odtąd ma już po większej części litery otwarte ze strony przeciwnej, prawej.

Rzymianie wzięli alfabet swój ze źródła greckiego, jak to widać z najstarszych nazw ich liter. Wiadomo, że w południowej Italii były wielkie kolonie Greków, z któremi Rzymianie pozostawali w ciągłych stosunkach. Za pośrednictwem tych kolonii przyszła do nich pierwsza znajomość alfabetu, przyczem najgłówniejszą rolę w tym względzie odegrało sławne miasto Cumae, które, jak się to wykazało z napisów, posiadało litery bardzo zbliżone do łacińskich, stanowiące niejako przejście od tych ostatnich do greckich. Inne ludy Italii otrzymały alfabet inną drogą. Tak np. Etruskowie, podług Tacyta, otrzymali go za pośrednictwem Demaratosa z Koryntu. Później zmieniały się powoli kształty liter, przechodząc przez wiele stopni pośrednich.

Ponieważ jednak mowa Rzymian była twardszą od greckiej, więc nie jedna głoska grecka używała się do oznaczenia zupełnie odmiennego dźwięku; takim sposobem z Y (ypsilon Greków) powstało V, używane również jako samogłoska zamiast wynalezionego później U. Z tego powodu starołacińskie AV odpowiada greckiemu AY a naszemu AU. Podczas gdy w greckim znak F (zwany

bau, wau albo digamma) wyrażał bardzo słaby dźwięk W, który później zupełnie wyszedł z użycia, u Rzymian oznaczano tą literą nierównie mocniejszą spółgłoskę F. Od czasu wojen Punickich zaczęto robić wyróżnienie między mocniejszem i słabszem brzmieniem C, dodawać temu ostatniemu znakowi kreskę, zkąd powstało G. Po większej części litery łacińskie, jak A, B, K, M, N, O, w zupełności podobne były do greckich tak pod względem formy, jak i pod względem brzmienia.

Najdawniejwszym piśmiennym materyałem były deski drewniane, na roczniki czyli kroniki, śpiżowe tablice i kamienne kolumny na traktaty: używano i skór zwierzęcych, łyka drzewnego, a w późniejszym czasie płótna oraz papieru, przygotowanego z krzewu papirusowego. Zazwyczaj pisano tylko na jednej stronie papieru, drugą zaś pociągano farbą szafranową dla ochronienia pisma od owadów. Atrament podobny do naszego tuszu, przygotowany był, podług Pliniusza, z gumy i sadzy; używano przytem i soku atramentnicy (sepia). Atramentu kolorowego nieznano; dopiero pod koniec cesarstwa zaczęto używać minii do fabrykacyi czerwonego atramentu. Pismo dzieliło się na kolumny, między któremi pociągnięte były czerwone albo białe linie. Jeżeli treść zapisanego papieru nie miała wartości, można było litery zmyć gąbką i jeszcze raz go używać. Większą część książek pisali umyślnie na ten cel trzymani niewolnicy. Obok biblioteki każdy zamożny Rzymianin miał wielki pokój, w którym uczeni niewolnicy zajmowali się przepisywaniem książek już do dla swego pana, już dla jego przyjaciół. Wielu pisało to samo dzieło, które jeden czytał głośno. Odróżniano wtedy tak zwanych t a c h y g r a p h i (piszący prędko), calligraphi i chrysographi (piszący złotym atramentem). Pisano nieraz tak drobno, że cała książka napisana na pargaminie mogła być schowaną w łupinę orzechową.

Podczas gdy literatura rzymska dosięgła największego rozkwitu, grecka zaś dawno już chylić się zaczęła do upadku, inne ludy Europy spoczywały jeszcze w głębokim śnie, z którego dopiero obudził je zwycięzki pochód legionów rzymskich. Rzymianie byli pierwsi, którzy szczepowi indoeuropejskiemu, a w szczególności Germanom, dostarczyli alfabetu. Takim sposobem powstało pismo runiczne, tajemna sztuka, znajoma jedynie książętom i kapłanom. Pozostawiając wszakże na stronie świat germański i pismo runiczne, do którego później na chwilkę powrócimy, zajmijmy się przedewszystkiem tem, co dla nas najważniejsze, światem słowiańskim.

O najstarszych próbach pisma słowiańskiego mamy sprawozdania szczupłe i nie dosyć jasne. Najważniejsze z nich jest świadectwo mnicha bułgarskiego Chrabra (z X-XI wieku), który w traktacie swoim o sporządzeniu głosek słowiańskich przez św. Cyryla powiada: »Pierwotnie Słowianie nie mieli liter, ale wyrażali mowę swoję za pomocą kresek i nacięć, będąc poganami; ochrzciwszy się, pisali mowę słowiańską literami greckiemi i łacińskiemi bez żadnej ścisłości«. Z tego wynika, że praojcowie nasi mieli jakieś znaki, ogólnie przyjęte, którymi wyrażali myśli swoje, sobie i innym zrozumiałe, wyrzynając je ostremi narzędziami na deskach drewnianych albo kamiennych. Zgadza się to ze świadectwem Dytmara, biskupa Merzeburgskiego (ur. 976 um. 1018), który w kronice swojej, mówiąc o mieście Słowian połabskich (nadelbiańskich) Ratarzu, powiada: »Wewnątrz świątyni stoją bogowie, rękami wyrobieni, z wyrytem nazwiskiem nad każdym z nich«. Te znaki piśmienne słowiańskie znali i pisarze Islandzcy, zowią je V i n d a - R u n i r. Szczegółowe wiadomości o najdawniejszych głoskach słowiańskich nie doszły do czasów naszych.

Jak powiada sam Chrabr, Słowianie przyjąwszy chrześcianizm, pisali głoskami greckiemi albo łacińskiemi, wszakże bez ścisłości w wyrażaniu brzmień mowy swojej; widoczną więc była potrzeba pisma, lepiej zastosowanego do ducha języków słowiańskich. Pismo takie, opar-

te na podstawie greckiego, wymyślił w roku 863 znakomity apostoł słowiański Cyryl święty. Car Michał pisze o tem do księcia Morawskiego Ratisława w tych słowach: »Bóg sprawił dziś w nasze lata, że znalezione jest pismo do mowy waszej, czego dotąd nie było, abyście i wy policzeni byli w poczet wielkich narodów, którzy chwalą Boga w swoim języku«. O szczegółach wynalazku św. Cyryla wiemy tylko tyle, że abecadło jego, zwane azbuka, liczyło 38 głosek. W książkach religijnych słowiańskich używane jest dwojakie abecadło: cyrylskie i głagolskie.

Nazwy liter są wspólne obudwom alfabetom, kirilica bliższą jest alfabetu greckiego niż głagolica. Co do dwóch tych abecadeł, długi czas sądzono, że św. Cyryl jest wynalazcą tego, które od niepamiętnych czasów zowie się cyrylskiem czyli kirylicą; wszakże znakomity badacz języków słowiańskich Szafarzyk jest zdania, że św. Cyryl ułożył głagolicę i że autorem kirylicy jest uczeń i współpracownik jego św. Klemens, biskup Wielicki, zmarł 916 roku. Główna przyczyna, dla której pozostajemy dotąd w niepewności w tej materyi, jest ta, iż dotąd nie mamy pewnych dowodów przynajmniej na to, że głagolica wiekiem swoim równa się kirylicy, którą jest pisana Ewangelia Ostromirowa z r. 1056 i 1057. Nie można na pewno powiedzieć, który z dwóch alfabetów przynieśli apostołowie słowiańscy do Morawii i Czech. Oba rodzaje pisma słowiańskiego uległy z biegiem czasu licznym zmianom. Głównem siedliskiem kirylicy, która stała się panującą u wszystkich Słowian prawosławnego wyznania, a również i u Rumunów, jest Ruś, gdzie można dotykalnie śledzić jej rozwój.

(Dokończenie nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Galileo Galilei, jeden z najmędrszych mężów, jakich dzieje nauki przedstawiają, urodził się roku 1564 w Pizie, umarł 1642. Od młodości okazywał niezwykłą zdolność do robót mechanicznych. Uczył się najprzód medycyny i filozofii, później zaś matematyki. W 19 roku życia podał prawa ruchu wahadłowego. W 22 roku odkrył wagę hydrostatyczną, która służy do stwierdzenia właściwego ciężaru ciał. (O właściwym ciężarze ciał ogłosiło »Światło« przeszłego roku dłuższy artykuł). Skutkiem tego został Galilei mianowany profesorem matematyki w Pizie, zaś w trzy lata później profesorem akademii w Padwie, gdzie pierwszy zaczął wykładać nauki w języku włoskim. W roku 1597 wynalazł cyrkiel proporcyonalny, a w r. 1602 ogłosił prawo spadku ciał, co stanowi jednę z najważniejszych epok w nauce i czyni Galileusza twórcą mechaniki i fizyki doświadczalnej. Udoskonalił świeżo wynaleziony termometr i dalekowidz, a za pomocą dalekowidza poczynił wiele odkryć astronomicznych, dostrzegł góry na księżycu i nauczył mierzyć ich wysokość z cienia przez nie rzuconego; odkrył plamy na słońcu i ruch słońca obrotowy.

Galileusz uznał też zdanie Mikołaja Kopernika, że nie słońce koło ziemi, tylko ziemia koło słońca się obraca. Cztery lata przed śmiercią, utracił wzrok.

Św. Marcin, obraz malarza Subica. Malarz słoweński, Jan Subic, urodził się 26-go Października 1850 w Poljanie a umarł 25-go Kwietnia 1889 w Kaiserslautern. Był to jeden z najlepszych malarzy, jacy z Krainy pochodzili. W jego rodzinie było kilku artystów. Od młodości okazywał wielką ochotę do sztuki malarskiej. Kształcił się najprzód u Wolfa w Lublanie, później we Wenecyi i Rzymie; wreszcie we Wiedniu u sławnego malarza Makarta. W r. 1881 udał się do Pragi, gdzie był czynny przy ozdobieniu teatru. Następnie powołany został na profesora szkoły artystycznej do Kaiserslautern w Bawaryi, gdzie zmarł. W Rzymie wykonał najpiękniejsze malowidła; pomiędzy niemi obraz św. Marcina, którego podobiznę w niniejszym numerze »Światła« podajemy. Św. Marcin przedstawiony jest na tym obrazie w tej chwili, gdy zmarłą córkę pewnej ubogiej rodziny na nowo do życia przywołał. Obraz ten był wystawiony w r. 1876 w Lublanie, gdzie uznano go jako najpiękniejsze dzieło sztuki, nad które piękniejszego dotąd żaden słoweński malarz nie wykonał. Obraz ten znajduje się w kościele w Smartnie pod Smarnogórą.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Jak pogodzić kształcenie dzieci z ich zdrowiem?

Jedną z bardziej niepokojących kwestyi jest kwestya chorób tak zwanych szkólnych i przeciążanie nauką młodego pokolenia. Nauczyciele niemieccy dochodzą do przekonania, że zbyt wczesna nauka, zbyt długie siedzenie w szkole, zbytnia obfitość przedmiotów wykładowych w połączeniu z niezdrowymi częstokroć warunkami budynku wywierają nader szkodliwy wpływ na dalszy rozwój uczącej się młodzieży i cielesne zwątlenie przyszłych pokoleń. Pomyślmy tylko, ile to tysięcy godzin w ciągu ośmioletniej nauki szkólnej i powtarzań domowych dziecko nasze zmuszone jest pozostawać w nieruchomości, w postawie hamującej prawidłowy rozwój kości pacierzowej, piersi i ramion? Cierpi na tem oddychanie, krążenie krwi i cały proces trawienia, a jednocześnie silniejsza praca mózgu sprowadza obfitszy napływ krwi do głowy, migreny i krwiotoki i wiele innych chorób.

Przekonano się na przykład, że skrzywieniu kości pacierzowej podlega prawie $^1/_5$ uczących się dzieci, a zwłaszcza dziewcząt; w tym samym stosunku wzrastają w ciągu nauki szkólnej bóle głowy i krótki wzrok. Wobec tego czyż nie jest obowiązkiem rodziców niweczyć choć w części nieuniknione następstwa nauki szkólnej? Zapewne, ale jak mało kto poczuwa się do tego obowiązku. Ileżto razy ani stół, ani krzesło, ani oświetlenie, ani druk książki, ani atrament nawet, nie odpowiadają potrzebom dziecka! Patrzymy obojętnie jak czytając kładzie prawie główkę na książkę, jak przy pisaniu przygniata klatkę piersiową.

Niech czyta, jak my czytamy, niech całem ciałem oparte będzie o poręcz krzesła i trzyma książkę w ręku w odpowiedniej od oka odległości. Kiedy pisze, postawmy mu jasną lampę po lewej stronie i urządźmy siedzenie w ten sposób, aby nie potrzebowało podnosić nazbyt prawego ramienia, a cały łokieć leżał wygodnie na stole. Po powrocie ze szkoły dom rodzicielski powinien być dla dziecka rzeczywistem wytchnieniem. Nie wymagajmy więc od niego za wiele; lepiej niech mniej umie a zdrowsze będzie i dłużej się chowa. Nauczyciel niemiecki Hartman porównywa dzień szkolny z normalną pracą robotnika i dochodzi do wniosku, że jeżeli największa część dnia roboczego nie powinna przekraczać 8 godzin, so dziecko, ze względu na jego niedojrzałość, nie powinno zajmować się dziennie nauką więcej nad 4 godziny. Młodzież szkólna w Ameryce po powrocie do domu wolna jest zupełnie od nauki; w tym celu lekcye trwają po trzy kwadranse, a oszczędzony w ten sposób czas poświęca się przygotowaniu do następnych lekcyi.

Jak mała w ogóle obfitość przedmiotów wykładowych i ilość godzin szkólnych wpływa na rzeczywistą korzyść osiągniętą z nauki, dowodzi doświadczenie zrobione w Anglii na szkołach fabrycznych. Dzieci pracujące tam po fabrykach, nie poświęcają nauce szkólnej więcej nad trzy godziny dziennie, a pomimo to korzystają więcej, więcej się uczą, w późniejszem zaś życiu dochodzą do lepszych stanowisk niż uczniowie gimnazyów i liceów, uczący się dwa a nawet trzy razy dłużej. Opowiadają o Darwinie, że pracował dziennie tylko dwie godziny, resztę zaś czasu poświęcał przechadzkom i badaniu przyrody. Te dwie godziny wystarczyły mu na napisanie tylu głośnych dzieł.

Praktyczne rady.

— **Bigos hultajski z kapustą.** Bigos ten najlepszy jest z pieczeni wołowej z kapustą i przygotowuje się w następujący sposób: wziąść kapusty kiszonej, wycisnąć trochę sosu, włożyć w rondel spory kawałek świeżego wieprzowego sadła lub smalcu świeżego przesmażonego; na to kapustę i dolać tęgim rosołem lub bulionem. Włożyć kawał świeżej przerastałej słoniny, niech razem z kapustą się zagotuje, przykryć i pod pokrywą dusić. Mięso jakie jest w domu, najlepiej z pieczeni wołowej i ze zwierzyny, pokrajać drobno w kostkę, słoninę, gdy się ugotuje, także wyjąć i pokrajać ze skórką, wszystko to wymięszać z kapustą, opieprzyć, zapalić smalcem z mąką zrumienioną i siekaną cebulą; jeżeli zaś kto nie lubi, to bez cebuli; dusić jeszcze razem, póki się dobrze nie wysadzi i nie nabierze koloru ciemniejszego, mieszając ciągle, aby się nie przypaliło. Dodaje się także kiełbasa, którą należy pokrajać i udusić w kapuście. Taki bigos daje się zwykle na śniadanie, a jeżeli na obiad, to przed zupą, a po nim czysty buljon. Przed podaniem na stół ułożyć cały bigos na półmisku, polać masłem z bułeczką i zapiec w piecu.

— **Pokrzywa a łysina.** W schroniskach letnich naokoło Wiednia odbywa się skrzętnie zbieranie pokrzyw. Roślina ta bowiem, według orzeczenia księdza Kneippa, ma własności zachowywania i odradzania włosów tak dalece, że na łysinach obu płci nowe nawet porostają cebulki włosowe. Recepta ta antyłysinowa opiewa: 200 gramów drobno siekanych korzeni parzącej pokrzywy gotuje się pół godziny w jednym litrze wody z dodaniem pół litra octu. Wyskokiem tym przecedzonym zmywa się głowę na noc, a raz na tydzień naciera się włosy rafinowanym olejkiem sałatowym. A nuż pomoże!

— **Francuzki sposób suszenia owoców.** Sławne gruszki z Reims (Russelettes) przygotowuje się w następujący sposób: gruszki się obierają, obsypują cukrem, umieszczają ogonkiem w górę i suszą powolnie na w niezbyt gorącym piecu, przyczem się ciągle gruszki odwraca i obsypuje wszędzie miałkiem cukrem tak, aby wydawały się krystalicznemi. Jeżeli piec nie będzie

za gorący, to zachowa swój połysk, w przeciwnym razie stopi się. Po wysuszeniu trzyma się jeszcze kilka dni w ciepłym pokoju, a potem pakuje w pudełka; gruszki takie stanowią bardzo poszukiwany artykuł w handlu.

W podobny sposób suszą się we Francyi na wielką skalę i inne owoce, jako to śliwki, morele, renklody itd., które w wielkich ilościach wychodzą za granicę.

— **Przechowywanie mąki.** Mąka pszenna jak i żytnia nie powinna być dłuższy czas w zbitej masie jak n. p. w worku, ani też na jednem i tem samem miejscu przechowywaną. Jak ziarno zbóż wymaga szuflowania i świeżego powietrza, jeżeli zdrowo ma być przechowywanem, tak i mąka, rychło się psuje, jeżeli na jednem i tem samem miejscu leży i nie bywa od czasu do czazu wzruszaną, nabiera niemiłego zapachu stęchlizny i nie daje się użyć do wyrobu pieczywa — które z mąki takiej nigdy nie będzie smacznem. Mąkę należy często przerabiać, a worki od czasu do czasu odwracać w ten sposób, by raz zawiązka, drugi raz spód worka były na wierzchu.

— **Spieszne próbowanie złota.** W braku pod ręką kamienia probierczego pociera się wątpliwy metal o krzemień, na którym pozostanie połyskująca się kreska, do tej przysuwa się jak najbliżej płomien niebieski palącej się zapałki siarkowej; jeżeli kreska zginie, przedmiot nie jest złotym.

Rozmaitości.

* **Statystyka wystaw powszechnych.** Pierwsza wystawa tego rodzaju odbyła się, jak wiadomo w Londynie 1851 roku. Obszar ziemi przez nią zajęty był 8 i pół hektara wielki, a liczba wystawców dochodziła 17000. Trwała ona 144 dni, a zwiedziło ją 6 milionów 390 osób. Druga wystawa, odbyta w Paryżu 1855 r., zajęła 10 hektarów obszaru, liczyła 21779 wystawców, a trwała 200 dni; w tym czasie zwiedziło ją 5 mil. 126 tys. osób. Trzecia wystawa, znowu w Londynie r. 1862, trwała 171 dni, zajęła 9 hektarów ziemi, liczyła 28653 wystawców i 6 mil. 211 tysięcy gości. Czwarta, w Paryżu 1867 r. rozsiadła się na 15 hektarach i była otwartą przez 217 dni. 50236 wystawców wystawiło tam swoje wyroby, króre obejrzało 10 milionów 200 tysięcy osób. Następna (5-ta) wystawa, wiedeńska, potrzebowała 16 hektarów obszaru. Przez 186 dni zwiedziło 7 milionów 254 tysięcy gości wyroby 42 tysięcy wystawców. Szósta z rzędu a pierwsza amerykańska wystawa powszechna odbyła się we Philadelphii w r. 1876. Obszar ziemi wynosił 24 hektary, wystawców było 60 tys., a gości naliczono 9 mil. 900 tysięcy. Następna wystawa w Paryżu 1878 r., miała takie rozmiary: 24 hektary obszaru, czas trwania 194 dni, liczba wystawców 32000, gości 13 milionów, — ostatnia wreszcie (przed chicagoską) a czwarta paryzka, 1889 roku przewyższyła wszystkie poprzednie. Na 30 hektarach wystawiło 60 tysięcy wystawców swe wyroby przez 183 dni. Liczba gości doszła ogromnej sumy 32 milionów!

* **Języki w Chinach.** W Europie napotyka się zwykle zdanie, jakoby w Chinach mówiono tylko jednym językiem. Co prawda, mieszkańcy czy Kantonu, czy Pekingu, czy Szangaju, czy w jakiem innem mieście o ciekawem brzmieniu, mówią wszyscy po chińsku, ale i to prawda, że się nieraz tak rozumieją jak Francuz z Holendrem, Niemicc z Londyńczykiem, a czasem nawet jak pies z kotem. Różnica narzeczy chińskiego języka nie polega jednak na tem, aby jednem mówili tylko uczeni i wykształceńsi, drugiem znowu tylko ludzie prości; owszem, najuczeńszy i najprostszy mówią zupełnie równo. Ogółem rozróżniają ośm głównych klas narzeczy: Kantoński, Hakka, Amoy, Swatan, Szangaj, Ningpo, Hainan i Mandarin. Ostatnie narzecze jest najnowsze, a używa się go w 14 czy 15 prowincyach z pomiędzy 19, na jakie państwo chińskie jest podzielone. Kantońskie narzecze jest najwięcej zbliżone do języka, którym mówiono w Chinach przed 3000 laty. Mimo że i narzecze »Mandarin« rozpada się na różne gwary, jednak mówiący niem najlepiej się porozumieją. Z 360 milionów Chińczyków mówi około 300 milionów »Mandarinem.« Jest ono niejako mową urzędową, bo wszyscy mandaryni (gubernatorzy) muszą niem władać. Kantońskiem narzeczem mówi około 20 milionów ludzi, innemi mniej.

* **W jakim wieku należy się żenić?** Pewien statystyk uczynił to pytanie przedmiotem gruntownych studyów i przez długie lata zbierał daty statystyczne co do chorób i śmiertelności dzieci, badając przy każdym wypadku, w jakim wieku pobrali się rodzice chorego lub zmarłego dziecka. Zebrawszy obfity materyał z 30,000 wypadków śmierci, doszedł ów statystyk do następujących wniosków: Najsłabsze są dzieci pochodzące z matek poniżej lat 20, najsilniejsze zaś te, których ojcowie mają od 30 do 40 lat. Statystyk daje więc następujące rady: Panny nie powinny wychodzić za mąż przed 21 rokiem życia; starzy mężczyźni nie powinni żenić się z młodemi pannami, panny nie powinny wychodzić za mężczyzn mających więcej niż 50 lat, ani też za zbytnio młodych; mężczyźni nie powinni żenić się z pannami nie mającemi lat 20, a jeżeli mężczyzna jest w wieku 20 do 30 lat, to nie powinien również żenić się z kobietą, mającą więcej niż 35 lat.

* **Wpływ światła na barwę u zwierząt.** Pewna gazeta amerykańska podaje dziwny wypadek zmienienia barwy u zwierząt, które przez dłuższy czas musiały żyć w ciemności. Pewien górnik młody w Kalifornii, zwiedzający przypadkowo szyb opuszczony już od lat 30, usłyszał tamże w powietrzu brzęczenie jakoby od much, wyciągnął mimowoli rękę i schwycił istotnie parę much, które atoli przy świetle zapalonej latarki wyglądały zupełnie biało

i miały czerwone oczy. Potem napotkał i zabił jeszcze węża grzechotnika, który był również białej barwy. Przypadkiem dostały się muchy białe i grzechotnik w ręce pewnego profesora, który niezwykłemu zjawisku poświęcił wiele badania. Co najciekawsze, biały kolor much przemienił się w przeciągu jednego tygodnia pod wpływem słońca w zwykły kolor naszych much. Jest to znaną zresztą rzeczą i w kilku wypadkach już dowiedzioną, że zwierzęta zmuszone z jakiegobądź powodu żyć w jaskiniach i dziurach głębokich, nabywają coraz jaśniejszego koloru, aż wreszcie przechodzą w tak zwany albinizm. U wszystkich ryb płaskich (jak flondry) jest strona wierzchnia ciemniejsza i różnokolorowa, strona dolna natomiast, zwrócona zawsze ku ciemnej otchłani, jest białawą, bezbarwną. Że to polega na wpływie światła, wykazało doświadczenie następne. Kilka młodych zupełnie flonder wsadzono do naczynia, którego boki i przykrywka nie przepuszczały żadnego światła. Dno zaś było ze szkła a pod nim znajdowało się lustro. Otóż promienie światła odbijały się w tem lustrze i wpadały przez szklane dno do naczynia, oświetlając dolną stronę flonder. Skutek był taki, że po $3^1/_2$ miesiącach na dolnej stronie porobiły się plamy i paski ciemniejsze, czego się w zwykłym stanie u flonder nie zauważy a co jedynie przypisać można wpływowi światła, tem więcej, że kilka innych flonder wsadzonych równocześnie do naczynia o szklanych bokach i bez przykrywy nie zmieniły swego koloru.

* **Stany Zjednoczone Ameryki** liczą obecnie prawie 10 milionów katolików, mają 1 kardynała, 12 arcybiskupów i 70 biskupów, 8000 kościołów i kaplic, 650 klasztorów i zakładów naukowych dla kobiet, 9000 księży i zakonników, 4000 szkółek parafialnych. Głównym ogniskiem wiedzy katolickiej jest akademia katolicka w Waszyngtonie, której zbudowanie 4 miliony marek kosztowało. Liczba katolików Indyan dochodzi do 100.000, przeszło 200.000 Murzynów są katolikami. Liczba katolików polskich w mieście Chicago wynosi 80.000; tworzą oni 8 parafii. Tamtejsza polska gazeta jednak narzeka, że wielu Polaków zapomina o wierze św. i o języku ojczystym.

* **Fabrykacya perfum.** Jednem z głównych miejsc fabrykacyi perfum w Europie jest Grasse pod Niceą. Obecnie właśnie odbywa się tam w pełni zbiór jaśminu, a tuberozy zaczynają kwitnąć. W samem Grasse i dokoła panuje upajający zapach. W fabrykach perfum robotnicy pracują dniem i nocą, a wydobywanie zapachów z roślin i kwiatów odbywa się w trojaki sposób. Za pomocą nalewania wrzącą wodą ziół pospolitych, jak mięty, lewandy, tymianu i geranii, których są całe pola; zapachy z kwiatów takich, jak róże, bez, heliotropy, fiołki leśne itp. wydobywa się zapomocą dystylowania; do fiołków parmeńskich zaś, pachnącej trawy, jaśminu i tuberoz zastósowywany jest tak zw. sysystem zimny. Ostatni ten sposób najwięcej zabiera czasu, ztąd jest najkosztowniejszy, ale też najpewniejszy dla zatrzymania istotnego zapachu każdego kwiatu. W fabrykach dziewczęta zajęte są odważaniem, rozdzielaniem, sypaniem i obrywaniem kwiatów z łodyg, maszyny zaś obsługiwane są przez mężczyzn. Odważone kwiaty leżą stósami na długich stołach. przy których siedzi w mniejszych fabrykach do 20 dziewcząt; każda z nich trzyma ramę kształtu i wielkości górnej części okna, a szkło w tę ramę wprawione poszmarowane jest z obu stron jest mięszaniną łoju cielęcego i oliwy. Dziewczęta sypią na górną stronę szkła tyle kwiatów, ile ich z łatwaścią utrzyma się na tłustej emulsyi i kładą ramy jedne na drugie do dziesięcu sztuk. Zapach z najniższej ramy przechodzi w 24 godzin w tłuszcz leżący na niej, poczem następnego dnia pożółkłe, pozbawione woni kwiaty, bywają zdejmowane przez robotnice, które sypią znów świeże na ten sam tłuszcz. Procedura ta powtarza się ośm do dziesięcu razy, a przesycona zapachem pomada sprzedawana jest małym perfumeryom albo nalewana bywa spirytusem i przecierana zapomocą koła rotacyjnego dopóty, dopóki weń nie wsąknie w płyn, a tłuszcz nie opadnie całkiem na dno blaszanych puszek. Tego tłuszczu używa się do mydeł, pomad itd., a wonny spirytus nalewany we flaszeczki stanowi perfumy. Ta procedura nazywa się zimnym systemem otrzymania perfum. Ponieważ w Grasse wszyscy są zajęci hodowlą kwiatów, przeto jarzyny i owoce są tam bardzo drogie, a niejednokrotnie bywają sprowadzane z Cannes lub Antibes.

* **Domy ze szkła,** jak nam donoszą fachowe pisma, zbudowane w większej liczbie w ostatnich czasach w Chicago. Zamiast emaliowanych cegieł, użyto kamieni zupełnie szklanych, które okazały się o wiele trwalsze i wytrzymalsze, szczególniej na wpływy atmosferyczne, wilgoć, mróz itp. Aby zmniejszyć cieżar tychże szklanych ciegieł, wyrabiają je pusto z odpowiednio wytrzymałemi ściankami. Co do szerszego zastósowania tego rodzaju materyału budowlanego — przyszłość dopiero okaże, czy te pochwały oddawane przez pisma amerykańskie są uzasadnione; podnieść bowiem trzeba, że przed wieloma laty używane progi szklane na kolejach nie okazały się praktyczne.

* **Największe działo.** Wspominaliśmy już o potężnej armacie, jaką Krupp zareklamował teraz swoją fabrykę na wystawie w Chicago. Jest to dotychczas działo największe na świecia. Waży ono 31 ton i może wyrzucać pociski 474 funtowe; nabój prochu wynosi 253 funty, szybkość pierwiastkowa 2099 stóp na sekundę. Gdy ustawimy łożysko armaty pod kątem 44° do poziomu, pocisk może zakreślić łuk olbrzymi, przebiegając na odległość 65,616 stóp (około 20 kilometrów). W przebiegu tym, trwającym 70 sekund, wznosi się on na wysokość 21,456 stóp, czyli 6500 metrów, to znaczy, że mógłby on naprzykład przelecieć po nad górą Montblanc, (wy-

padłszy naprzykład z Saint Dider i spadając w Chamounix); w przelocie pocisk armatni może wznieść się po nad tą górą prawie o połowę jej wysokości.

—⋙⁂⋘—

ŻARTY.

Logika pijaka.

— Czy was nie wstyd tak próżnować?

— To przez oszczędność!

— A to ciekawe?

— Widzi wielmożny pan, jak pracuję, to dostaję pragnienia, a wówczas to więcej przepijam, niż zarabiam...

Jeśli się poszczęści...

— Namyśliłem się, już nie będę się zabezpieczał na życie; może trzeba będzie opłacać składkę przez jakie lat 20; to nie ma najmniejszego wyrachowania.

Agent: Nie przeczę, wszystko się zdarza, ale jeźli się panu dobrodziejowi poszczęści, to może pan umrzeć w pierwszym zaraz roku ubezpieczenia się.

Krótka pamięć.

— Jak się masz? Rok cały nie widzieliśmy się. Cn porabia twoja żona? Czy zawsze taka czerstwa i wesoła?

— O tak. Zawsze czerstwa i wesoła. Ale prawda. Zupełnie o tem zapomniałem, że moja żona umarła przed sześciu miesiącami.

Na ulicy.

— Ach! dobrze, że pana spotykam, bo mam do pana pilny interes. Dziś jednak nie mam ani chwili czasu, ale czy nie moglibyśmy zejść się jutro, we Czwartek?

— Niepodobna, panie, dziś wieczorem wyjeżdżam do Chicago.

— To może w Piątek?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.